

M

Kobieta o miłym, marzycielskim usposobieniu. Niesie dużą książkę. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Zapytałem co czyta. Lubi czytać o miłości. Nie lubi scen brutalnych. Wtedy zapytałem co sądzi o miłości. Uśmiechnęła się zażenowana i dopiero po długiej chwili w zawiłym wykładzie wyjaśniła, że o miłości trudno coś sensownego powiedzieć. Na miłość można patrzeć z wielu różnych punktów, z każdego inaczej. Spojrzała mi zalotnie w oczy i spytała z jakiego punktu ja patrzę na miłość. I dopiero wtedy spostrzegłem, że brak mi takiego punktu. Ale nie chciałem w oczach kobiety uchodzić za prostaka, który na tak ważną kwestię nie ma swojego poglądu. Więc zakreśliłem ręką łagodny łuk, co miało oznaczać, że to, co chciałbym opowiedzieć, jest niezwykle trudne do opowiedzenia. Powiedziała, patrząc pod nogi:

- Ja też tak właśnie pojmuję miłość.

- Miłość jest zupełnie czymś innym - wtrąca mały, drobny człowieczek maszerujący tuż obok.

Wszyscy zwracają się do drobnego człowieczka po imieniu. Właściwie jego sposób poruszania się trudno nazwać marszem. Z powodu jego krótkich nóg, należałoby raczej mówić o truchciku: to sady wielkie kroki, to nieco podbiega. Cierpi na zadyszkę, słabo widzi i pewnie z tego powodu jest urodzonym

33

malkontentem. Na temat miłości woli nic nie mówić, by nie urazić kobiety z książką.

2
- Miłość jest zupełnie czymś ibbyn! - powtarza ona z naciskiem i chichoce cicho.

Jeszcze długo toczyłaby się dyskusja na temat miłości, gdyby nie przykry wypadek, jaki przydarzył się panu Henrykowi.

- Spadły mi okulary! - wrzasnął przerażony.

- Nie podnoś pan okularów! - ostrzegłem go ostro, gdy zawahał się na moment.

- Bez okularów prawie nic nie widzę...

- Będziemy pana o wszystkim informować - łagodzi napięcie kobieta z książką.

Tuż obok, z prawej, maszeruje wysoki drab w solidnych narciarkach, w drogim kożuszku, o skłonnościach do demagogii.

Nieustanna obecność draba w najbliższym sąsiedztwie denerwuje mnie najbardziej. Nie lubię słuchać jego wywodów na temat

aktualnej sytuacji politycznej. Nikt nie wdaje się z nim

w dyskusję. Udaję, że słucham, a myślę po swojemu. Tak zresztą

czyni wielu. Gdy drab, wywodząc, zagląda mi głęboko w oczy,

nieznacznym skinieniem głowy potwierdzam zgodność moich poglądów

z jego wykładem. Ale w dalszym tle widzę tonący statek ~~xxxxxxx~~

z drabem na pokładzie. I zastanawiam się jaką ma szansę na uratowanie się.

- Potrafi pan pływać? - pytam, ni stąd, ni zowąd.

Moje pytanie zaskakuje go.

- Pływam doskonale - odpowiada i natychmiast powraca do przerwane go wywodu.

Ale moja wyobraźnia roztacza przed drabem ogromny przestwór oceanu, w ten sposób odbieram mu - choć o tym nic nie wie - ostatnią deskę ratunku, jaką widzi w umiejętności pływania.

Pozostałych współtowarzyszy marszu znam już tylko z opowiadań. Oto w trzecim rzędzie do przodu drepce kobieta o niezwykle melancholijnym usposobieniu, skora do płaczu z byle powodu. Złośliwi opowiadają dowcipy o jej krzywych nogach. Pewnie nogi stanowią jej obsesję i jeszcze jeden powód do melancholii. Owa kobieta nie posiada umiejętności ukrywania swoich wad. Mówią, że mąż pozostawił ją własnemu losowi, od tego dnia jest stale rozgoryczona i zgorzkniała. Straciła zaufanie do mężczyzn, a kobiet nie darzy sympatią.

W czwartym rzędzie do tyłu maszeruje dziarsko mężczyzna w średnim wieku z niepełnym wyższym wykształceniem. Przyciszonym głosem opowiadają o jego skłonnościach do alkoholu.

37

Zaś na dobro przypisują mu talent malarski. Sam ponoć opowiada, że jego możliwości zabija to szalone tempo pochodu. W innych warunkach na pewno by namalował niejedną wspaniałą obraz.

Dotrzymując kroku otoczeniu nie ma już czasu na skupienie. Jego specjalnością jest malowanie morza. Niestety dotąd jeszcze nie zetknął się z morzem - dużo czytał o morzu. Wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę: - Jednego dnia los postawi mnie na brzegu morza, wówczas namaluję najpiękniejszy obraz swojego życia.

- Kto miał szczęście usłyszeć te słowa, wierzy w talent malarza. Ma liczne grono sympatyków, widzą w nim człowieka o wielkich możliwościach. Tylko demagog ma o malarzu inne zdanie. Twierdzi, że malarz współczesny - jeśli jest naprawdę wielkim malarzem - powinien podejmować w swoich dziełach patos pochodu: - Morze jest tematem wielu obrazów!

Z opowiadań znam również historię eleganckiego pana - piątego z lewej w drugim rzędzie - który jest niestety rozwódnikiem. O nim najchętniej rozmawia kobieta z książką. To właśnie on podkreśla owe "niestety" opowiadając perypetie życia samotnego mężczyzny.

- Małżeństwo nie jest najlepszym rozwiązaniem sytuacji dla ludzi, których łaskawy los obdarzył prawdziwą miłością - słyszę

głos kobiety z książką. Ale niestety nic lepszego nie wymyślono -
w głosie kobiety wibruje starannie ukrywana nuta żalu. - Chociaż!?.
...- w tym miejscu urywa gwałtownie rozpoczętą myśl i nigdy jej
nie kończy.

Zamyśla się daleko, wędruje wyobraźnią zawiłymi ścieżkami
wymyślonych możliwości, które tak trudno ująć w sensowne słowa.

O innych maszerujących wiem znacznie mniej. Czasem w szcze-
linie między szeregami, gdy na moment zachwieje się równowaga
marszu, miga sylwetka pięknej dziewczyny z dzieckiem na ręku.
Bez trudu skojarzyłem, że nieustanne drobne zakłócenia w utrzy-
mywaniu kroku, jakie powoduje demagog, są związane bezpośrednio
z obecnością owej dziewczyny.

Znam też - ale tylko ze słyszenia, gdyż owych nieszczęśliwców
nie udało mi się poznać bliżej - historię dziedzicznej choroby
pewnego chłopca i historię nieszczęścia, jakie spotkało starego
profesora. Otóż ów emerytowany profesor nieustannie rozpytuje
o syna, który dotąd nie powrócił z wojny. Gdy dotarło do mnie
pytanie staruszka, jak wszyscy przede mną, pokręciłem przecząco
głową. Przekazałem pytanie dalej, a inni również pokręcili
przecząco głową. Ktoś w głębi szeregów bąknął, jakoby widział
opisywanego młodzieńca, ale nie potrafił dokładnie określić,

gdzie go widział i kiedy. Wiadomość ta uskrzydliła utrudzony krok starego profesora i natchnęła go nową nadzieją.

Gdzieś z przodu, kilka szeregów przede mną, maszeruje znany poeta. Wiele słyszałem o jego talencie i równie wielkich dziwactwach. Podobno maszeruje tyłem do przodu. Jest odważny: głośno protestuje przeciw nonsensowi nieustannego marszu. Słowa poety drażnią demagoga, który zarzuca poecie brak właściwej orientacji politycznej i przede wszystkim zacofanie ideowe. Natomiast poeta pokpiwa głośno z demagoga nazywając go baranem lub papugą.

- Więc nie ma wyjścia z tej przeklętej sytuacji? - podpytuje drobny człowieczek, który przed chwilą zgubił okulary.

Pyta, żeby coś mówić, żeby przerwać przygnębiające milczenie. Wierzy, że z dyskusji, z nieustannego rozmawiania o sytuacji wyłoni się jakaś koncepcja wyjścia, jakaś myśl skłaniająca do przeciwdziałania.

- Niestety, nie ma żadnego rozsądnego sposobu! - ucina twardo mężczyzna w skórzanym fartuchu.

Drobny człowieczek drepce tuż obok i jest głęboko przekonany że powinno się nieustannie szukać jakiegoś wyjścia. On nie potrafi tego uczynić, ale są ludzie stworzeni do takich spraw. Ilekroć mówi o konieczności działania, patrzy na mnie zachęcająco.

Pochlebia mi jego wiara w moją wyjątkowość, więc pytam człowieka
w skórzanym fartuchu:

- Dlaczego sądzi pan, że nie ma żadnego rozsądnego sposobu?

- Na nic kombinowanie, przyjacielu. Rozglądnij się pan tylko dookoła. Wyciągam szyję, patrzę daleko ponad głowami maszerujących i zaczynam pojmować sceptycyzm sąsiada.

- Do diabła! To maszeruje morze!

- Trafne określenie - drab w narciarkach potakuje przyzwalającą głową.

- Ilu maszeruje w tym pochodzie? - pyta drobny człowieczek.

- Tego nikt nie wie dokładnie - wtrąca drab. - Jedni twierdzą, że kilka miliardów, inni że kilkanaście, są i tacy, którzy doliczyli się kilkudziesięciu miliardów. Gdy wejdziemy na wzgórze będzie pan mógł lepiej zobaczyć - zwraca się do mnie. - O, właśnie zaczynamy wchodzić na wzniesienie!

Tempo marszu nieco maleje. Krok się wydłuża, oddech staje się głębszy, serce pracuje szybciej, głośniej. Stawiam kroki rozważniej, oszczędniej.

- Słabo mi! - skarży się kobieta i rozgląda dokoła; zamierza usiąść.

- Co pani robi? - uprzedzam ostro jej zamiar. - Nie wolno się zatrzymywać! - podaję kobiecie rękę.

- Dziękuję - mówi szeptem, oddycha z trudem. - W zyczliwym
towarzystwie łatwiej znieść trud marszu.

- W tej sytuacji należy wszystko trzymać przy sobie - wtrąca
człowieczek. - I buty należy dobrze zasznurować. Przyjaciel
usiłował się przesunąć w szeregach, ale miał rozwiązane sznurowa-
dło, o czym nie wiedział, przyspieszył kroku i upadł. Wiedział
co mu grozi i dlatego natychmiast poderwał się, by wstać, ale
uczynił to bardzo niezdarnie, zachwiał się, upadł ponownie... -
opowiadający zamilkł.

Każdy z łatwością wyobraził sobie co nastąpi potem. Tylko
drab w narciarkach zapytał: - I co się stało?

Drobny człowieczek spojrzał przenikliwie w oczy pytającemu,
po chwili wyrecytował, cedząc każde słowo: - Rozdeptali na
bibuškę! - Ale nikt nie powinien mieć o to pretensji - oznajmił
wzywająco. - Marsz stanowi naturalną selekcję, kto nie ma sił
aby iść... W zwartym pochodzie nie ma winnych!

Zapadło milczenie.

- Czytałam, że dawniej było sporo wolnej przestrzeni -
przerwała napięcie kobieta z książką. - Zmęczeni marszem odpoczy-
wali w głębokiej trawie, słuchali grania polnych koników...

- Tak było w czasach Gilgamesza - mówi demagog.

- Leżąc w trawie można niejedno przemyśleć! - uzupełnił
człowieczek. - Ważne, żeby się nie spieszyć w myśleniu.

- O czym to pragniesz pan tak myśleć? - w głosie demagoga
czai się groźba.

- A o czym można myśleć w marszu? - wtrąca się człowiek
w skórzanym fartuchu. - Tylko o odpoczynku.

- Nastął czas wielkiego marszu. Idziemy naprzód, więc należy
maszerować - podnosi głos demagog. - Przeznaczeniem człowieka
jest marsz! Poza marszem człowiek nic nie znaczy. Tylko w marszu
doskonalimy nasze człowieczeństwo, kto twierdzi inaczej...

- Ale dokąd nas prowadzą? - przerywa równie ostro, gdyż
denerwuje mnie pouczanie demagoga.

- Do nikąd! Idziemy po prostu z rozpędu - wyjaśnia mężczyzna
w skórzanym fartuchu.

- Bzdura! Na czele pochodu znajdują się nasi przywódcy! Oni
wiedzą dokładnie dokąd idziemy. Możecie mi zaufać.

Wspinam się na palce. Za mną falujący łań głów, aż po hory-
zont. Ciekawość przyplącam natychmiast bolesnym kopniakiem
w kostkę. Idący za mną nawet mnie nie przeprosza: zakłócam
miarowy rytm pochodu.

Wreszcie szczyt wzgórza.

- Nadarza się rzadka okazja! - podpowiada mężczyzna
w skórzanym fartuchu.

Nastawiam szkła lornetki na nieskończoność. Gdy stopy moje dotykają wierzchołka, usiłuję dojrzeć początek pochodu. Przed oczami, aż po horyzont, dywan ruchowy, bezkresny. Po falujących łańcach głów wędrują plamy cienia i światła. Wszystkie punkciki poruszają się w tym samym kierunku.

- I co pan widzi? - podpytuje kobieta z książką.

Oczekuje ode mnie jakiejś pocieszającej wieści.

- Nie widzę skraju pochodu.

- Tak też myślałem - wzdycha ciężko drobny człowieczek.

Nagle spostrzegam w jednostajnie falującym morzu głów ciemniejszą plamkę, przypomina ona szczelinę. Domyślam się pustego miejsca w szeregu, gdyż wyraźnie widzę zarysowaną krawędź. I widzę jeszcze, w znacznym oddaleniu, zatarte już krawędzie przeciwległego brzegu szczeliny. Kształt poszczególnych sylwetek z tej odległości jest już nieczytelny. Głośno opowiadam swoje spostrzeżenia.

- To pewnie początek rozrzedzenia! - domyśla się mężczyzna w skórzanym fartuchu. - Gdyby chociaż jeden rząd rozpoczął

nieznaczne opóźnianie marszu, a poprzedzający nie zmienił tempa, wówczas między tymi dwoma rzędami powstawałaby powoli wolna przestrzeń.

- To co widzę stanowi zbyt szeroki pas pustej przestrzeni, posiada wyraźnie zarysowane krawędzie, w żadnym wypadku nie potwierdza teorii o początku rozrzedzenia.

Ale mężczyzna w skórzanym fartuchu nie jest przekonany. Wierzy w swoją teorię o początku rozrzedzenia. Kobieta z książką, drobny człowieczek... Właściwie wszyscy są za teorią początku rozrzedzenia. Każdy widzi tę sytuację inaczej; ale tak, aby odrobina nadziei popychała do marszu.

Schodzimy z pochyłości. Tempo zaczyna wzrastać. Wysuwam daleko do przodu nogi, stawiam coraz to dłuższe kroki. Natomiast mały człowieczek odwrotnie, drobi kroczyki w szybkich podskokach. Usiłuje zmieścić się między twardymi łukami obcasów poprzedzającego, a spiczastymi czubkami postępującego za nim.

Pod stopami sucha, zdeptana ziemia. W nozdrza uderza zapach pyłu, w zębach trzaskają kryształki piasku. Ktoś kaszle, splota pod nogi. Tysiące nóg rozdeptuje resztki dawnych trawników.

W oddali jawi się ciemna linia lasu. Ktoś zazdrości tym, którzy przejdą przez las: - Szczęśliwcy, zażyją cienia, chwycą w płuca łyk powietrza nasyconego żywicą.

- A my ciągle pustkowiec - wzdycha drobny człowieczek.

- W lesie marsz jest znacznie trudniejszy - wtrąca demagog.

- Ale można stanąć za drzewem i nieco odsapnąć - drobny człowieczek usiłuje znaleźć chociaż jedną korzyść z marszu przez las.

Nikt nie podejmuje dyskusji, a on sam wie doskonale, że to niemożliwe. Przyzwyczajeni do marszu - ni stąd, ni zowąd - nie możemy stanąć obok zwartego pochodu. Kto wytrzyma bezruch, gdy wszystko dookoła jest w ruchu?

- - - - -